

Cenzura – przeszkoda czy niezbędnik?

29 kwietnia 2024

Kiedy zapytać ni z tego, ni z owego kogokolwiek o cenzurę to okaże się, że niemal każdy jest przeciw? Gorzej kiedy zapytamy: dlaczego? Odpowiedzi owszem, dostaniemy, ale już nie tak szybko i nie takie oczywiste. Na ogół będą to utrwalone schematy, bez głębszej refleksji własnej i zazwyczaj odnoszące się do spraw tzw. polityki w jej przedostatnim stadium.

Przyszło mi to do głowy, kiedy w jednej z bibliotek zapytałem o pozycję zatytułowaną „Cztery wieki fraszki polskiej” pod red. A. Bruecknera, wybrane i poprzedzone wstępem J. Tuwima. Pamiętałem ją z lat szkoły średniej, kiedy bawiliśmy się, czytając fraszki ojców literatury, jak np. Mikołaja Reja: „Jeden gdy się ożenił, więc mu się sprzykrzyło i do uja uciekał, bo mu blisko było...”. Były jeszcze bardziej „pikantne” autorstwa Kochanowskiego i wszystkich niemal naszych wielkich.

Wypada dodać, że o książkę zapytałem grubo po roku 2000. Odpowiedź bibliotekarki warta była sceny filmowej. „Ależ to jest wycofane!!! Przecież to oczywiste!!!” – na chwilę aż straciła oddech w świątobliwym oburzeniu. Nie chciałem, by coś jej się stało, więc nie poprosiłem o wyjaśnienie, dlaczego to takie oczywiste. Książkę mam własną, więc może dlatego odpuściłem kobiecie, choć incydent jest ciekawszy, niż się z pozoru wydaje.

Sprawa przypomniała mi się kiedy wpadła mi w ręce niewielka pozycja wydana przez wrocławski Nortom pt. „Wykaz książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu – 1.X.1951 r.” z posłowiem Zbigniewa Żmigrodzkiego.

Sprawa cenzury w PRL wydaje nam się tak oczywista, że w zasadzie nie ma o czym mówić. Wiadomo – komuna, brak wolności słowa, bezustanne podejrzenia o spisek mający na celu obalenie

ustroju i tym podobne urojenia chorej formacji politycznej nie wymagają, jak nam się czasem zdaje, specjalnych komentarzy. Wiadomo, że ktoś nieakceptowany przez wierchuszkę partyjno-państwową nie miał szans na publikację. Polski czytelnik miał być skazany odgórnie na czytanie wyłącznie pozycji ideowo „słusznych”. Przy czym warto pamiętać datę – przed 1956 rokiem.

Dla tych, którym taki opis tamtej rzeczywistości wystarcza, wspomniany wykaz będzie niejakim zaskoczeniem. Zorientowani wiedzą, że łupem cenzury padały czasami pozycje niemające niczego wspólnego z polityką. Wystarczyło, że „niewłaściwy” był autor. Tak było choćby z Kornelem Makuszyńskim, który w PRL pozbawiony został niemal środków do życia, ponieważ ministrem kultury był człowiek nazwiskiem Rzymowski, usunięty przed wojną z Polskiej Akademii Literatury za plagiaty, a na jego miejsce przyjęto właśnie autora „Szatana z siódmej klasy”. Teraz Rzymowski mógł się zemścić, choć przecież to nie Makuszyński był powodem jego przedwojennej kompromitacji. Takich i podobnych spraw było wtedy wiele.

O ile we wspomnianym spisie książek wycofanych nie dziwią specjalnie pozycje traktujące o Piłsudskim, Legionach, czy sławiące polityków przedwojennych, to takie np. „Lato leśnych ludzi” Rodziewiczówny już budzi zdumienie. Gdyby nie ten spis, niewielu wiedziałoby, że J. Brzechwa był autorem tomiku „Imię wielkości” zawierającego wiersze o Piłsudskim. Czym zasłużył sobie na „wycofanie” Z. Buczyński, autor opracowania „Uprawa marchwi pastewnej” nie potrafię wyjaśnić, a szkoda. Łatwiej wyjaśnić wycofanie z obiegu bibliotecznego wszystkich utworów Agaty Christie. Mieszcząński do bólu Hercules Poirot nie miał prawa zatruwać umysłów zdrowej części społeczeństwa (a chora powinna się z niego wyleczyć). Podobny los spotkał „Vinnetou” Karola Maya, którego wszystkie utwory zostały wycofane z bibliotek. Z oczywistych względów usunięto wszystkie wydania „Dywizjonu 303” Fiedlera, a także inną jego książkę „Dziękuję ci, kapitanie”.

Gustaw Morcinek, mimo że na ogół przychylnie widziany przez nową władzę (z wzajemnością), zaliczył wycofanie kilku swoich utworów, co także trudniejsze jest do wyjaśnienia. Tak jednak działało się z wieloma autorami, którzy tworzyli przed wojną. Nawet Michał Rusinek, autor komunistycznego mitu o „czerwonych kosynierach” w Gdyni musiał przełknąć wycofanie jego książki wydanej przed wojną we Lwowie „Polska zaczęła się od Gdyni”.

Książeczki dla dzieci Szelburg–Ostrowskiej (Zarembiny) też nie do końca podobały się nowej władzy, więc je wycofano na dłuższy czas, w co dziś niektórym trudno uwierzyć.

Największe zdumienie budzą jednak wykazane w spisie pozycje na pozór wspierające nowy ustrój, nową władzę itd. Co mogło być przyczyna ich wycofania? W przypadku „Manifestu komunistycznego” Marksa i Engelsa wyd. 17 z roku 1946 czynnikiem, który na to wpłynął, mógł być zamieszczony w wydaniu komentarz J. Maliniaka, bo coś innego?

Takie pozycje jak Alter W. „Socjalizm walczący”, Barski T. „Akcja kominternu” (fakty i dokumenty ze wschodu z lat 1920-1936), Brona W. „Worek ludowych Judaszów, czyli grabarzy Polski Ludowej”, Gomułka Władysław „Dzieje walki i myśli”, Gomułka – Wiesław – wszystkie utwory, Kliszko Zenon – wszystkie utwory, (dwaj ostatni ze względu na rozgrywki wewnątrz partii komunistycznej, często bardziej bezwzględne, niż z prawdziwymi przeciwnikami), Osóbka Morawski E., Gomułka W., „Naród chce spokoju i przepędzi precz podżegaczy wojennych”, Małcużyński K., „Norymberga. Niemcy 1946”, Próchnik A., „Kobieta w polskim ruchu socjalistycznym” i mnóstwo, mnóstwo podobnych.

Szczególną pozycję dającą do myślenia są duże ilości nieudostępnianych bajek i książeczek dla dzieci. Tu sprawa jest prostsza. Gatunek literacki odznaczający się jasno sformułowanymi morałami musiał być postrzegany jako ew. zagrożenie ze strony ludzi umiających „niewłaściwie” ów morał zinterpretować. Nowy ustrój chcąc wychować nowego,

socjalistycznego człowieka musiał szczególną uwagę zwracać właśnie na to co serwuje się najmłodszemu czytelnikowi. Stąd w spisie „wycofańców” wszystkie niemal utwory braci Grimm.

Broszurka ma 80 stron, ale pozwalają one na niezwykle wprost podróż po ledwie minionej historii Polski. Mało tego, nie kończy się owa podróż wraz z „wyprowadzeniem sztandaru”. Pytaniem, które narzuca się samo, jest: co dalej? Co zrobiono z bibliotekami po upadku komuny?

Odpowiedź znajdujemy w posłowie Z. Żmigrodzkiego. Pozwolę sobie na cytaty: „(...) spodziewano się jednak, że resort kultury w rządzie Tadeusza Mazowieckiego zajmie się natychmiast szeroko zakrojoną akcją wspomagania bibliotek, aby jak najwięcej tytułów »literatury nieobecnej« – nie tylko na półkach bibliotecznych, ale i w świadomości społeczeństwa – można było w Polsce przeczytać. Spotkał nas gorzki zawód”.

Dalej prof. Żmigrodzki porusza jeszcze jeden temat, z którego wagi nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Chodzi o „ciąg dalszy” przygody z cenzurą, a ściślej odpowiedź na pytanie: czy dziś ona wciąż istnieje?

Spróbujmy się sami zastanowić. Mamy cenzurę czy nie? Jasne, że każdy zaraz się zachnie: no skąd?! Cenzury nie ma, mamy wolność słowa! Na pewno?

Oczywiście, formalnie rzecz biorąc, mamy wolność słowa. Nie ma urzędu, który by nam tę wolność ograniczał. Tylko czy do tego potrzebny jest aż urząd?

Weźmy choćby coś, co pełza po naszych ścieżkach od lat kilkudziesięciu: tzw. poprawność polityczna. Jak ona działa? Dlaczego większość z nas jej ulega? Czy jest ona nową „jedyną słuszną opcją”, „jedyną prawdą” we współczesnym świecie i każde wyjście poza nią może skończyć się źle dla wychodzącego? Odpowiedzmy sobie na te pytania, naprawdę warto.

Przykładów mamy sporo. Ot, choćby coraz bardziej idiotyczne

spory o listy lektur szkolnych. Argumentacja przy tych sporach jest wręcz żenująca. Mam wrażenie, że tym ludziom chodzi po głowach wszystko tylko nie chęć poszerzenia wiedzy ucznia. Np. „W pustyni i w puszczy” – pozycja bliska już oficjalnego „zakazania”, a to z powodu rasizmu obecnego na jej stronach. Normalne? No nie bardzo, bo skąd, nie czytając, uczeń ma się dowiedzieć, jak traktowano osoby innych ras, wyznań itd.? Z wystąpień niedouczonej polityków?

A nie lepiej dać mu tę lekturę (pełną zresztą niezwykle ciekawych wątków historyczno – politycznych) z zastrzeżeniem, że to nauczyciel jest zobowiązany do wyjaśnienia wszystkich kwestii. No, chyba że nie potrafi. Wtedy zapytam: jakim cudem on pracuje w szkole?

Przykładów poprawności politycznej krępującej nasze słowa i działania w codziennym życiu jest tak wiele, że czasem trąca one wręcz absurdem. Kiedy prof. Bralczyk zapodał, że ongiś „ministra” oznaczało służącą – rozpętała się histeria. A przecież to prawda, więc jak? W imię czego mamy fałszować historię (w tym historię języka)? Wystarczy przecież dowiedzieć się, kim jest np. minister w Kościele ewangelickim. Ale po co, prawda? Lepiej od razu w krzyk.

Czy nie mamy więc do czynienia po prostu z odmianą cenzury? I to tej najgorszej, bo na siłę wpajanej samemu sobie w imię ... no właśnie – czego? Czy w takich warunkach można liczyć na rzeczową i uczciwą dyskusję na jakikolwiek temat, skoro musimy poruszać się trasach wyznaczonych nam przez nieformalnego, ale przecież silnego i pływowego cenzora?

Można też założyć, że cenzor siedzi po trochu w każdym z nas. Każdy z nas ma tematy czy kierunki myślenia, które wolałby, by nie istniały. Przyczyna? Nie wiem, strach, wygodnictwo, brak kwalifikacji, by poruszać się po nieograniczonej przestrzeni intelektualnej?

Odpowiedzieć musi każdy sam sobie. Nie zawiadamiając

„cenzora”.

Autorstwo: Jerzy Łukaszewski

Źródło: StudioOpinii.pl